

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach (3)

Gdyby tak zebrać, wzorem purpuratów na konklawe, wszystkich literaturoznawców, aby uzgodnili jakie jest najpiękniejsze opowiadanie świata, ciekawe czy kiedykolwiek ujrzelibyśmy biały dym z komina.

Cóż, nie jestem literaturoznawcą, ale śmiało mogę wskazać najpiękniejsze opowiadanie świata, i piszę to całkiem serio.

Prawdę mówiąc, albo inaczej, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, objawiło się ono samo w książce Jana Rybowicza „Samokontrola i inne opowiadania”, gdzie jest numerem jeden. Gdyby tak trafił się nam człowiek, którego pierwszą książką byłaby ta wspomniana powyżej, to zacząłby swoją przygodę z czytaniem od „Najpiękniejszego opowiadania świata”.

Farciarz!

Słów kilka o autorze. Jan Rybowicz, rocznik 1949, mieszkaniec Lisiej Góry pod Tarnowem urodził się pisarzem i chciał to udowodnić całemu światu, (a być może samemu sobie), co nie przyszło mu łatwo, o czym możemy dowiedzieć się z jego debiutanckiej książki. Ale nie tylko o tym, Rybowicz nie jest egotykiem, co najwyżej delikatnie ociera się o egotyzm. Jest przede wszystkim bystrym obserwatorem świata, szczególnie tego, w którym jest umieszczony, nazywanym ładnie, małą ojczyzną. Książka Rybowicza przenosi nas na prowincję w magiczny świat PRL-u przełomu lat 70./80., w którym to świecie niczego nie było, a ludzie to „nic” mieli i jeszcze tym handlowali. Dla czytelnika 60+ jest to cudowna podróż do czasów młodości (która zawsze jest cudowna), dla młodych będzie kawałkiem historii napisanym dobrym piórem rasowego literata.

Miałem szczęście śledzić karierę Rybowicza od momentu jego debiutu w miesięczniku „Nowy Wyrz”, kombinowałem nawet jakby go poznać, ponieważ bardzo się z nim utożsamiałem. Moje plany przerwało epitafium autorstwa Józefa Barana, które ukazało się na dwóch stronach tygodnika „Wieści”. Byłem tym wstrząśnięty. Tłustymi, dużymi literami stało:

Nie spotkałem Janka Rybowicza, ale znam spore grono osób, które się z nim zetknęło na różnych młodoliterackich spędach. Wszyscy mówili jednym głosem – Janek nie wylewał za kołnierz. Ze swojej strony wspominałem Rybowicza na kartach mojej debiutanckiej książki „Performance”, gdzie, a jakże, pijemy razem piwo. Nie mogło być inaczej.

Kiedy już trochę okrzepł jako pisarz, w kolejnej książce delikatnie ociera się o egotyzm pisząc dwa szkice do autobiografii, w drugim wymienia luminarzy kultury, którzy rzucali mu kłody pod nogi, tych pomnę, wymienię natomiast tych, którzy Rybowiczowi pomagali w stawianiu pierwszych kroków na literackiej niwie, byli to: Henryk Cyganik, Tadeusz Śliwiak, Renata Zdanowska, Krzysztof Gąsiorowski, Tadeusz Nowak, Józef Baran, Marek Sołtysik, Zbigniew Włodzimierz Fronczak, Artur Sandauer i Wacław Sadkowski.

Janek Rybowicz odcisnął swój ślad, może nie w alei gwiazd, ale w swoim uniwersum. Był czas, kiedy książki Rybowicza na Allegro osiągały astronomiczne ceny, odkrywało go nowe pokolenie, od jakiegoś czasu to już ucichło, być może jest to cisza przed kolejną burzą, kiedy pojawi się nowe pokolenie buszujących w antykwariatach odkrywając magiczną prozę Rybowicza na nowo.



Tyle książek rocznie, a nie ma co czytać...

Co roku na rynku wydawniczym w Polsce pojawia się kilkanaście tysięcy nowych tytułów. Statystyki brzmią imponująco: w samym 2024 roku wydano u nas ponad 30 tysięcy książek. Gdyby ktoś chciał wszystkie je przeczytać, musiałby to robić w tempie stachanowca: kilkadziesiąt dziennie, bez jedzenia, spania i wychodzenia na słońce. Paradoksalnie jednak – im bardziej rosną te liczby, tym częściej mam wrażenie, że wchodząc do księgarni czy biblioteki, stoję przed regałami pełnymi powietrza. Bo choć okładki są coraz bardziej kolorowe, a blurby na czwartej stronie coraz bardziej egzaltowane, to nie ma czego zdjąć z półki.

To uczucie ma coś z klątwy sybaryty: teoretycznie mamy wszystko, praktycznie – nic wartościowego. Literatura piękna coraz częściej przypomina ćwiczenie ze stylistyki albo radosną autoekspresję, która nikogo poza autorem nie interesuje. Z kolei literatura popularna masowo zmierza w stronę „seriali na papierze” – szybko skleconych fabuł, gdzie schemat goni schemat, a każda postać mówi tak samo. Na marginesie tej rzeki powstaje oczywiście coś naprawdę ważnego

– ale żeby to znaleźć, trzeba przebić się przez mielizny.

I wtedy ratują mnie dzienniki. O, jakże wdzięczny to gatunek! W dziennikach ktoś naprawdę próbuje zmierzyć się z życiem i sobą. Próbował tego Gombrowicz, próbował Herling-Grudziński, próbuje dziś Andrzej Stasiuk, a nawet mniej znani autorzy, którzy nie ukrywają swojej niepewności, kruchości czy nieporadności wobec świata. Dziennik nie jest zwykłym zapisem – to dialog z czasem, a czasem z czytelnikiem, który ma odwagę zajrzeć za kulisy cudzego umysłu.

Ratuje mnie też literatura faktu – przede wszystkim książki historyczne i naukowe. Chociaż i tu trzeba mieć filtr, bo półki zalewają pop-historyczne sensacyjki o „tajemnicach Hitlera” czy „polskich wampirach”. Ale raz na jakiś czas wychodzi coś naprawdę mocnego – jak monumentalne biografie autorstwa Andrzeja Friszkego czy Jacka Leociaka, które przypominają, że przeszłość nie jest tylko zbiorem dat, ale materią moralną. Po takich lekturach człowiek czuje się jak po długiej rozmowie z kimś, kto wie więcej i po trafi to przekazać bez protekcji.

Bywa, że zazdroszczę ludziom, którzy wchodzą do księgarni i w każdej nowości widzą obietnicę wstrząsu, przeżycia, katharsis. Ja już tak nie mam. Może to kwestia wieku, może nasycenia, a może po prostu ta nasza współczesna kultura, która książkę traktuje jak jeszcze jeden produkt do „sprzedania” w sezonie. A przecież literatura to nie kolekcja kubków z Biedronki ani t-shirt z cytatem z Szekspira. Dobra książka rodzi się długo, czasem latami, nie z deadline’u.

Dlatego marzy mi się, żeby na rynku było mniej książek, ale żeby były to rzeczy, które naprawdę zmieniają człowieka. Marzy mi się, by zamiast kolejnych „powieści obyczajowych z motywem traumy” dostawać eseje, które rozpalają myśl. Marzy mi się, by czytelnik miał odwagę sięgać po tomy trudne, gęste, nieoczywiste – zamiast tych, które „czytają się same”.

Ktoś powie: marudzenie. Może. Ale prawda jest taka, że dzisiaj czytelnik musi być bardziej detektywem niż kiedykolwiek. Musi szukać pereł, wiedząc, że większość tego, co lśni, to tylko plastik.

Czy to źle? Niekoniecznie. Może właśnie to rozczarowanie przypomina, że książki to nie towar, tylko zaproszenie do rozmowy. A dobre rozmowy nie zdarzają się co pięć minut. Na szczęście, gdy już się zdarzą – zostają z nami na lata.

Andrzej Dębkowski



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Justyna Miszczak, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl